

MIREK KONIECZNY

SEN O VICTORII



powieść narkomańska

MIREK KONIECZNY

SEN O VICTORII



TRYLOGIA NARKOMAŃSKA

© Copyright by Mirek Konieczny & e-bookowo
Na okładce Mirek Konieczny
Projekt serii i grafika: **Paweł Zapendowski**
ISBN 978-83-7859-051-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Patronat medialny

Twojakultura.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

*Maki nie rosną już
La commedia è finita*

Prolog

Tego lata mogłem zrealizować wszystkie swoje marzenia – miałem bowiem w końcu tyle pieniędzy, ile chciałem – wszakże pracowałem na ciepłej państwowej posadce, ponieważ byłem nauczycielem języka angielskiego w jednej z krakowskich szkół podstawowych. Mianowicie pracowałem w szkole numer 128¹. Wyleciałem z niej z hukiem po roku, wdałem się w konflikt z dyrektorką teźże wspaniałej wszechnicy. Polegał on na tym, że nie chciałem donosić jej tego, co mówili o niej uczniowie, którzy pasjami rozmawiali ze mną o wszystkim na przerwach, które spędzałem przed wejściem, na polu, paląc papierosy². Byłem zawsze otoczony wianuszkiem swoich fanów, którzy opowiadali mi o swoich problemach i dzielili się swoimi radościami. Najczęściej były to opowieści o zabarwie-

¹ Z tego co wiem, szkoła nadal istnieje, mimo moich usilnych zabiegów, aby ją skompromitować.

niu ambiwalentnym, gdyż na przykład jak zakwalifikować choćby takie opowiadanie, o jednej mocnej imprezie ośmioklasistów, podczas której dosłownie wszyscy rzucali pawie – z czego byli bardzo dumni – ale z całokształtu, nie tak do końca, albowiem miał miejsce nieprzyjemny incydent.

Otóż ktoś wpadł na pomysł, aby porzucać sobie butelkami z okien. Wszyscy wiemy, jak to przyjemnie i zabawnie wygląda, gdy taka osuszona właśnie butelka po wódce łąduje na bruku, roztrzaskując się na drobniutkie kawałeczki, przy akompaniamencie wrzasków uczestników danej imprezy, odprowadzana wzrokiem przyglądającej, a jeszcze bardziej, przysłuchującej się, danej – słyszalnej w promieniu pół kilometra – zabawy, gawiedzi. To właśnie w tych czasach nastąpiło apogeum głośności wszelkich spotkań towarzyskich, doprowadzając do kresu, tak cierpliwość sąsiadów, jak i skale potencjometrów aparatury nagłaśniającej, dostępnej imprezowiczom. To w tym okresie powstały wszystkie przeboje wszechczasów w Polsce, do których poziomu najnowsze produkcje rodzimej sceny muzycznej nie mają nawet szans podskoczyć, na kant pyty i...się potłuc. Aktualne w tych czasach było stwierdzenie „przeżyj to sam”³, tę „prywatkę, jakiej nie przeżył nikt”⁴, bo każda nowa była mocniejsza od poprzedniej. W sumie to tak sobie kombinuję, że to dobrze, że w pewnym momencie poszedłem w bardziej elitarną subkulturę, czyli w narkotyki, bo straciłbym nie tylko wątrobę, ale i życie. Po

² O ile pamiętam, były to Radomskie. Mocne jak cholera, dawały kopa. Zostały wycofane do demobilu z powodu szatańskiego działania.

³ Oczywiście chodziło o piosenkę zespołu „Lombard” – hymn wszechczasów wszystkich Freemanów.

⁴ Wzięte z tytułu „Prywatka” Oddziału Zamkniętego. Moja przeżywalność wynosiła w tych latach 0 %.

prostu spaliłbym się doszczętnie, jak ta ćma u „Maxima”⁵ w Gdyni, w piosence „bLady szPank”⁶.

Ale wracając do moich wychowanków, czyli aktualnie klasy VIII b, to wszystko szło jak z płatka, gdyby nie rozkojarzenie jednej z imprezowiczek, której rozkalibrował się ostro celownik i ni z tego, ni z owego, ciśnięta jej ręką butelka uzyskała nieprawidłową trajektorię i wylądowała (pech chciał) na dachu jednego z samochodów. Był to wielce niestosowny zgrzyt, który natychmiast przerwał był całą zabawę. Nagle, jak spod ziemi, pojawił się na horyzoncie właściciel rzeczzonego pojazdu, który oglądnięwszy wgniecenie w dachu, pojechał natychmiast na dziesiąte piętro i zaczął gwałtownie dobijać się do drzwi, za którymi zapadła głucha cisza. Jak nożem ucięte śmiechy i rozmowy, a przede wszystkim muzyka, do tej pory podkreślona na full, tworzyły kontrast ze stanem sprzed chwili zaledwie. Cóż było robić – relacjonowali mi ze smutkiem moi podopieczni: trzeba było w końcu otworzyć, bo spieniony klient wyrzaskiwał swoje pretensje równie głośno, jak przed chwilą głośna była muzyka, a tego, że impreza jednakowoż w inkryminowanym lokalu miała miejsce, nie dawało się ni chu, chu zaprzeczyć, ani zamazać. Cóż było robić? Trzeba było stawić czoła przykrej rzeczywistości i mocno podkurwionemu pacjentowi.

Musicie wiedzieć, że w tamtych czasach samochód był dobrem najwyższym. Ważniejszym niż zdrowie, czy życie. Był tak trudnodostępnym artykułem, że „nie kochać go w taką noc – to (był) grzech”⁷. Tym większe było więc przewinienie moich młodych milusińskich. Uszłoby im na sucho, gdyby tra-

⁵ Chodzi o ówczesną mordownię wyższych sfer w PRL, na północy Polski.

⁶ Kapela jak ta lala.

⁷ Nie kochać w taką noc to grzech / Gdy sercu serca brak... – to pierwsze wersy znanej piosenki Mieczysława Fogga.

fili w głowę jakiegoś przechodnia – bo: po co się pałęta pod oknami, gdy właśnie nadchodzi najfajniejsza część zabawy, czyli wyrzucanie różnych przedmiotów, jako to krzesła, stołów, butelek, czy choćby telewizorów. Takiego faktu nikt by nie zauważył nawet. Ale trafienie w najwyższego idola tamtych czasów – w samochód, to było przestępstwo główne, które nie mogło przejść niezauważone w żadnym wypadku. Wiedzieli o tym wszyscy, dlatego zabawa skończyła się natychmiast jak nożem uciął, w momencie, gdy tylko szkło zetknęło się z lakierem dachu dużego fiata, model 125p⁸. Cisza, jaka zadźwięczała po tym fackie, była niemyym dowodem winy – samonapiętnowaniem się przez sprawców. I nie było możliwości uniknięcia fatum, które zawisło nad głowami biednych dzieci. Muszą bulić. Ale że w opisywanych czasach istniało jeszcze w praktyce, a nie jak obecnie w teorii ledwie, prawo: jeden za wszystkich i wszyscy za jednego (relikt ści⁹), dlatego wspólnie musiały się złożyć na blacharza i lakiernika. Takimi oto problemami żyła wtedy młodzież w tamtych czasach i nikt nie podejmował tematu dyrektorki, bo po co mówić o kalece, że nią jest. Nikt nie będzie roztrząsał problemu garbatego, tak jak nie mówi się o powrozie w domu wisielca.

Dyrektorka jednakowoż myślała, że młodzież nie ma innych tematów, jak obgadywanie jej, czy też innych członków ciała pedagogicznego. Zaprosiła mnie więc pewnego razu do swojego gabinetu i bez owijania w bawełnę zaczęła nakłaniać do kolaboracji. Powiedziała:

– Panie Mirku, pan tak wiele czasu spędza z młodzieżą. Jeśli byłby pan tak dobry, to proszę mnie informować, co nasi

⁸ Jaguar real socjalizmu.

⁹ Pewien ruch robotniczy w Europie Wschodniej.

uczniowie mówią na mój temat.

– Co?! Ja miałbym donosić na uczniów?! – uniosłem się. – Pani chyba zwariowała! – stwierdziłem z oburzeniem. Moje oburzenie było święte, bo wtedy jeszcze rany, po okresie esbeckim,¹⁰ były bardzo świeże i donosicielstwo było największą zbrodnią, która powodowała wykluczenie poza nawias społeczności konspiratorów, jaką byliśmy wtedy wszyscy. Nawet narkomani byli wtedy zupełnie inaczej traktowani niż współcześnie. Narkomani byli po prostu jednym z odłamów konspiry, który walczył z państwem, tylko na innej płaszczyźnie, niż te wszystkie KOR-y¹¹ i KPN-y¹². Bycie narkomanem w czasach komuny było czymś nobilitującym, było ruchem kontrkulturowym, mającym swoich bardów jak Rysiek Riedel¹³, swoich idoli jak Tomasz Stańko¹⁴, swoich męczenników jak na przykład Dekabrysta¹⁵ z Krakowa i swoich Ojców Założycieli jak Victoria z Groszowic koło Opola. Uważny czytelnik mógłby w tym miejscu zapytać:

– Zaraz, zaraz, a kto to jest ów Victoria z Groszowic, bo tych poprzednich to jakoś jeszcze od biedy kojarzę?

Otóż odpowiadam.

¹⁰ Czyt. donosicielstwem, którym parała się większa część społeczeństwa, przeciw mniejszej.

¹¹ Komitet Obrony Robotników – marionetkowy twór esbecki, stworzony jako wentyl bezpieczeństwa, który wymknął się spod kontroli i narobił już jako NSZZ Solidarność sporego bałaganu w całej Europie.

¹² Konfederacja Polski Niepodległej – operetkowa partia, założona w Krakowie przez znanego ubeka Moczulskiego.

¹³ Wielki Ćpun – Bóg wszystkich przeszłych i przyszłych ćpunów wszechczasów.

¹⁴ Znany trębacz jazzowy i przy okazji zapoznany w środowisku ćpun.

¹⁵ Pierwszy ćpun Krakowa, opisany doskonale w książce Wojciecha „Tarzana” Michalewskiego pt. „Mistycy i narkomani”.

Historia z Victorią w tle

Rozdział pierwszy, czyli megaimpreza pod Akacją

Wydarzyło się to w czasie wakacji, po pierwszym roku moich studiów. Pojechałem do Gliwic, do mojego najlepszego kumpla Marka Łoika. Niestety nie zastałem go w domu (rzecz banalna w okresie prekomórkowym¹⁶). Poszedłem więc prosto od niego, do naszego wspólnego kolegi Przemka Grabskiego, zamieszkałego przy tej samej ulicy Brzozowej. Na szczęście Przemek był. Zaprowadził mnie do swojego pokoju, zaparzył herbaty, poczęstował jakimś nienazbyt jeszcze czerstwym kawałkiem torma¹⁷ i wypytywał o cel mojej wizyty. Pogryzając buddyjski placek rytualny, podprowadzony zapewne przez mojego gospodarza z jakiejś ostatniej inicjacji, opowiedziałem mu o tym, że jadę właśnie na spotkanie z jedną z moich aktualnych narzeczonych: Kamą do Opola i że wpadłem po Marka, aby mi potowarzyszył w mojej wyprawie. Przemek wyjaśnił

¹⁶ Był to okres gdy XXI wiek kojarzył się wszystkim bardziej z zasiedleniem Marsa (vide „Kroniki marsjańskie” Raya Bradburego), niż z powszechną komunikacją mobilną.

¹⁷ Torma – to placek wykonany z miodu i sezamu, w którym guru zamyka podczas obrzędu wszystkie negatywne emocje i który potem porzuca jako ofiarę dla głodnych duchów Yidagów.

mi, że Marek pojechał właśnie wczoraj do rodziny na wieś, ale że to nie jest katastrofa, bo on chętnie pobije ze mną w trasę. Tak więc nie tracąc czasu, spakował niezbędne rzeczy do białego worka żeglarskiego i wyszliśmy na przystanek tramwajowy. Po kilku przesiadkach wydostaliśmy się z aglomeracji śląskiej i doszliśmy do wyjazdówki prowadzącej na Opole. Tam rozdzieliliśmy się i szliśmy w odstępie 100 metrów w stronę Opola. Samochodów było sporo, ale żaden nie zatrzymywał się, nie zwracając uwagi na nasze ponaglenia, którymi próbowaliśmy je do tego zmusić. Po jakimś czasie, w końcu Umrzesz, bo takie nosił przezwisko Przemko, zatrzymał jakiegoś mercedesa. Samochód podjechał do mnie i zapakowałem się do niego. Usiadłem obok Przemka na tylnym siedzeniu i ruszyliśmy dziarsko naprzód.

Samochodem powoził jakiś gruby, potężny mężczyzna w podkoszulce od kompletu z kalesonami, na oko jeden z tych badylarzy¹⁸, którzy dorabiali się w tamtych czasach na pomidorach, kwiatkach, czy innym badziewiu. Widać było, że zabrał nas ze względu na nasz wygląd, bo na pewno nie liczył, że dostanie coś od dwóch takich hippów, jakimi jawiliśmy się wtedy. Przemko, ze swoją freemeńską¹⁹ aparycją, z kręconymi włosami opadającymi na plecy i ramiona, z narzuconą na grzbiet lnianą koszuliną, z takimiz lnianymi zgrzebnymi porciętami i z prostymi sandałami, prezentował się jak model środkowoeuropejskiego hippisa. I ja nie odbiegałem od wzorca, ze swoimi długimi lokami, niedbale pobrudzoną, farbowa-

¹⁸ Badylarz – było to wysoce pejoratywne określenie ówczesnych bogaczy, którzy mieli tysiące w kieszeni jak badyli w lesie.

¹⁹ Freeman – to określenie po raz pierwszy zastosowane przez mojego kumpla Marka Łoika, w Wetlinie, podczas praktyk z bezkręgowców, po pierwszym roku biologii. Oznacza ono wszelkiego rodzaju odjechańców, w tłum. z ang. wolnych ludzi.

ną koszulką, pofarbowanymi na czerwono spodniami typu moro²⁰, w przykurzonych tenisówkach i z nieodłącznym śpiworem mógłbym pozować do Sevres pod Paryżem. Po przejechaniu kilku kilometrów facet odwrócił się w naszą stronę i zaproponował:

– Może się poczęstujecie? – i wyciągnął w naszą stronę paczkę niebywałego rarytasu w owych czasach, a mianowicie Marlboro. Ja skorzystałem z propozycji skwapliwie i poczęstowałem się długim aromatycznym papierosem. Nawet Przem, który nie palił niczego, poza oczywiście „świętym zieleń”, poczęstował się rzadkim dobrem, które natychmiast ukrył w kieszonce koszuli. Kierowca podał mi żar od zapalniczki samochodowej i zapaliliśmy „jak starzy – po całym”. Jechaliśmy tak w słońcu, owiewani podmuchem powietrza wpadającym przez otwarte okna, rozkoszując się najlepszym dymem świata, wpatrując się w przebiegający na zewnątrz pejzaż zielonych łąk i pól. Po dłuższej chwili milczenia gruby jegomość za kierownicą nie wytrzymał lustrowania nas w lusterku, odwrócił oczy od szosy, skierował swe oblicze w tył, ku nam i przyjaźnie zapytał:

– A wy chłopcy to jesteście ci, no, ćpacze²¹?

– Jak widać na załączonym obrazku – odpowiedział reżolutnie Przem.

– A co, może ma pan jakieś zbędne dragi do wchłonięcia?
– zapytałem go z nutką znużenia, bo wiedziałem już, jaka rozmowa nas czeka. Klient wyczuł ślad znużenia w moim gło-

²⁰ Moro – to nazwa munduru WP, bardzo popularnego w tych czasach ubioru młodzieży kontestującej – oczywiście tej odważniejszej, bo za posiadanie kurtki, butów, czy spodni tego typu było się zatrzymywanym przez różne formacje od MO po SOK-istów (zwłaszcza w północnej Polsce) i groziły za to różne sankcje od konfiskaty do kolegium włącznie.

²¹ Ćpacz – to archaiczne określenie ćpuna, używane w czasach pierwotnych komun hippisowskich w Polsce.

sie, ale mimo to indagował nas nadal:

– I co, zażywacie ten, no, kompot?

– Objazdatelno²²! Zawsze po obiedzie – ripostował Przemek.

– Wybaczcie – poprawił się szofer – ale czy wy bierzecie ten, no, mak? O to się chciałem zapytać.

– Jeżeli jest, to bardzo chętnie i to w każdej postaci: opium, makiwary, czy też tego osławionego kompotu – wyjawiłem mu oczywistą prawdę (choć w tym roku jeszcze nie wiedziałem jak się kompot produkuje, ale powiedziałem tak, aby zrobić facetowi przyjemność).

– I co, to jest takie przyjemne, jak się to wstrzykuje, bo to się wstrzykuje, nieprawdaż?

– Ano prawdaż, prawdaż – powiedział Przemek. – Podobno wejście heroiny, po przywaleniu działki, jest najwyższą rozkoszą, jaką zdolny jest odczuć ludzki organizm, ale ja będę się upierał, że jednak wypalenie dobrej lufki grassu ma w sobie nieodparty urok.

– Być może haj po trawie jest miły, ale nic w kosmosie nie może równać się z dobrym kopem po acetylowanym opium – argumentowałem.

– Ja jednak optowałbym za świętym zieleń – upierał się Przemek.

– A co, mak nie jest święty? Przecież najstarszy ryt bogini zdrowia, z kręgu kultury Babilońskiej sprzed 6 tysięcy lat, przedstawia kobietę w wieńcu, w którym wplecione są makiwarki. Wiem, bo widziałem na zdjęciu w ostatnim „Mówią wieki²³”, to najświeższe znalezisko. A poza tym w kurhanach kultury Hetyckiej znajdowano nasiona maku.

²² Z ros. obowiązkowo.

– A to swoją drogą dziwne, jak ważne okazują się narkotyki w historii człowieka – podtrzymał dyskusję Przemek. – Czy wiesz dlaczego upadła kultura aryjska w Indiach, po najeździe na stojących niżej kulturowo, zwłaszcza w technice wojennej, Drawidów?

– Coś tam słyszałem, że rozplynęli się w masach drawidyjskich. Pozostawili po sobie jednak tradycję kastowości i wspaniałe zabytki piśmiennicze, czyli Wedy. Zwłaszcza Mahabharata i Ramajana są po prostu ciekawe jako książki.

– Właśnie, co jest osiã, na przykład Rigwedy, czy Jazdurwedy²⁴?

– Zdaje się, że mityczna Soma.

– Cha! – zaśmiał się Przemek – mityczna. To nie żadne mity, lecz sposób przyrządzania specjalnego napoju halucynogennego. To całe przesączanie somy przez sito z wełny to nic innego, jak właśnie sporządzanie mitycznego napoju, który dawał Ariom poczucie duchowej jedności podczas obrzędów.

– Coś jak obrzędy inicjacyjne u Indian Mescalero, w Meksyku?

– Tak, lub jak obrzędy szamańskie u Inuitów, czy Czuczcy, na Syberii.

– Ale czym posługiwali się według twojej teorii tajemniczy Ariowie? Bo jak mi wiadomo pochodzili oni z gór obecnego Iranu i Afganistanu.

– Racja, w górach tych rośnie specjalna odmiana muchomora...

– To tak jak wśród ludów Syberii – wtrąciłem się Przemekowi w słowo.

²³ „Mówią wieki” – było to jedno z nielicznych czasopism popularnonaukowych, przybliżające wiedzę historyczną.

– Tak – kontynuował – z którego to grzyba ten Indoirañski lud produkował, w długim okresie przygotowań ową Somę, która po emigracji na półwysep Dekan w kilka pokoleń po jego podboju stała się formułą retoryczną, określającą esencję bytu – atmana, czyli pierwotnego ducha.

Zapadła cisza, rozcięta jedynie pomrukiem silnika.

– To bardzo interesujące, to, o czym panowie rozmawiają – ocknął się w końcu kierowca. – To gdzie was wysadzić, bo już dojeżdżamy?

– Najlepiej przy osiedlu Armii Czerwonej – zaordynowałem.

– Dobrze – odpowiedział kierowca i wioził nas dalej przez Opole.

– O, to tutaj – powiedziałem, gdy przejeżdżaliśmy obok domu Kamy.

Kierownik zastopował auto, po czym wyszliśmy na zewnątrz i pożegnawszy go, zatrzasnęliśmy drzwi. Merol ruszył z kopyta i tyleśmy go widzieli. Weszliśmy do klatki dziesięcioletniego bloku i wjechaliśmy na piąte piętro. Zapukałem w odpowiednie drzwi. Odpowiedziała nam głucha cisza. Ponowiłem próbę jeszcze energiczniej. I nadal nic.

– Kama, otwieraj! – krzyknąłem, waląc pięścią na cały regulator. Nic.

– Ewa?! – (użyłem jej prawdziwego imienia). Odpowiedziała nam głucha cisza.

– Chyba jej naprawdę nie ma – stwierdziłem autorytatywnie.

– Nic tu po nas – dorzucił Przemek, po czym zrobiliśmy w tył zwrot i odstąpiliśmy od zamkniętych na głucho drzwi. Wyszliśmy na pole rozpalone słonecznym żarem.

²⁴ Rigweda i Jadziurweda – to dwie z kanonu Wed.

– To co robimy? – zapytał Umrzesz rzeczowo.

– Nie mamy wyjścia, musimy się rozłożyć obozem pod najbliższym sklepem...

– Jak znam życie, to pewnie „monopolowym” – zgadywał Przem.

– Racja, zgadłeś – powiedziałem i dałem znak, abyśmy ruszyli w drogę.

Pomaszerowaliśmy w stronę centrum powoli i z godnością szurając (jak na prawdziwych hippów przystało) swoim obuwem po miastowym bruku. Doszliśmy do odległych okolic prowadzeni pradawnym instynktem i trafiliśmy na sklep monopolowy, w którym nie było właśnie remanentu, czy kartki: „zaraz wracam – jeźdem na poczcie”. Weszliśmy do środka i stanęliśmy w tradycyjnej kolejce, która zapowiadała się na jakie pół godziny. Mieliśmy więc farta, można śmiało powiedzieć. Przemek oddał się lekturze etykiet z napojów wysokowych, a ja liczyłem ilość much znajdujących się w lokalu. Miałem je już policzone kilka razy, gdy nagle do sklepu wkroczyła rozgadana trójka młodzieży. Od razu stwierdziłem, że dziewczyna, która weszła z dwójką młodych mężczyzn, to moja dobra znajoma – Sława z Mogilna – małego miasteczka między „Inem”, a Gniezmem w Poznańskim. Od razu przebiegło mi przez myśl, że to Jah²⁵ musiał maczać palce w tej koincydencji zdarzeń. Sława rzuciła tylko okiem po wnętrzu sklepu i natychmiast podbiegła do mnie, wydając z siebie przy tym dziki pisk:

– Mirek, to ty? – spytała retorycznie i od razu rzuciła się na mnie z łapami, aby mnie wyściskać.

– Cześć, Sława, puść, bo mnie udusisz – zdołałem odpo-

²⁵ Jah – w mitologii Rastafaraj to nazwa najwyższego boga, por. Elohim czy Adonai.

wiedzieć, gdy tylko trochę ochłonałem z wrażenia.

– A kto jest z tobą? Kim jest ten przystojniak? – zapytała puszczając filuternie oko w stronę Przema.

– To jest mój dobry znajomy Przemek Grabski, znany w szerszych kręgach pod pseudonimem „Umrzesz”. – Przemo – zwróciłem się do przyjaciela – poznaj, oto Sława z Mogilna. Kumpela zresztą Grzywy i Grzyweczek.

– Witam – powiedział Przemo i padli sobie w ramiona, na sposób hippisowski.

– A kim są twoi znajomi? – przerwałem im tradycyjne powitalne ekscesy.

– A to są dwaj moi dobrzy kumple, złodzieje – odparła Sława. – Ten niższy i starszy to Romeo – powiedziała wskazując na krępego, muskularnego bryna²⁶ – a to Bagsiu – wskazała na wyższego bruneta o kręconych włosach i buzi niewiniątka. Po tych słowach padliśmy sobie w ramiona po kolei i mieliśmy już za sobą obowiązkowe obrzędy powitalne.

– To co, warto by wypić za początek nowej znajomości? – zapytał Romeo bez zbędnych ceregieli.

– Jasne, że tak – odrzekłem z pewnością w głosie. – To, co kupimy, po jabolu? – zaproponowałem.

– A dlaczego tylko po jabolu? – zapytał Bags.

– No, bo nie mam zbyt dużo pieniędzy. Tylko pięćset złotych, a ty Przemo, no ile masz hajcu? – zwróciłem się do przyjaciela.

– No ja to mam... – zaczął Przemek, wysuplując z kieszeni forszę.

– Dajcie spokój z tymi drobniakami – przerwał nam Romeo. – My stawiamy – na co Bagsiu potaknął tylko głową.

²⁶ Bryn – to typ męski charakteryzujący się szczególną budową twarzy i przerostem umięśnienia.

A że nadeszła właśnie nasza kolej do kupowania trunków, Romeo zamówił bez mrugnięcia powieką:

– Cztery Jarzębiaki poproszę.

Po czym wyjął ogromny zwitek banknotów, w którym Kopernik tulił się do Kopernika, zapłacił i wyszliśmy w skwar popołudnia, taszcząc ze sobą cztery butelki wysokoprocentowego paliwa.

– Kto to wypije, to wszystko? – dziwiłem się na głos, kiedy skierowaliśmy swe kroki ku najbliższej ławce, na sielankowym osiedlu późnego PRL-u.

– A, co tam słyhać u Kamy? – zapytałem, kiedy rozsiedliśmy się w cieniu wątlej akacji i wypiliśmy po łyku starannie odbitej przez Bagaśa butelki. – Błę, ale hara – powiedziałem do siebie otrzepując się po pierwszym łyku wódki.

– No właśnie, nie ma jej..

– To i sam wiem – wszedłem w słowo Sławie.

– I niestety nie będzie – dokończyła.

– A co z nią jest? – indagowałem dalej Sławę, popijając kolejny łyk Jarzębiaku.

– Piggi mi wszystko wyjaśniła, gdy byłem u niej – kontynuowała. – Kama wyjechała na delegację.

– Acha, normalka i dupa zbita. Nici z całej imprezy – podsumowałem chmurnie.

– Ależ skąd – zaprzeczyła Sława. – Impreza odbędzie się obowiązkowo, tylko w innym lokalu.

– Co, może u Piggi, w jej dwu pokojach, z matką na głowie, czy może u Suzi, na tym jej zadupiu?

– Ależ nie – przerwała mi machając gwałtownie rękami. Trzymaj się, bo odleczysz, otóż impreza będzie miała miejsce w najlepszym hotelu w mieście, w „Opolu”.

– No więc gdzie?

– No właśnie mówię: w hotelu „Opole”.

– A kto za to zapłaci? – wtrącił się przytomnie Umrzesz.

– O to się nie martwcie – włączył się do rozmowy milcząco do tej pory Romeo. – Hotel jest opłacony jeszcze na dwa dni – mrugnął do mnie zawadiacko, po czym przyłożył sobie do ust butelkę, pociągnął spory łyk alkoholu i wyrzucił za siebie opróżnioną. Bagsiu otworzył następną i podał ją kurtuazyjnie Sławie, która uniosła ją do ust i zadedykowała toast naszym sponsorom:

– Zdrowie Bagsa i Romea

– Zdrowie – przytaknęliśmy z Przemem i kolejny łyk tej podniebnej imprezy spłynął w kolejne gardło. Na chwilę umilkliśmy, przeżywając rozkoszne ciepłko, jakie rozpościerało się w naszych jestestwach. Gdy rozpoczynaliśmy czwartą butelkę, Przemo nie mógł już powstrzymać się przed zadaniem niedyskretnego pytania:

– To sporo musieliście chłopcy wydać na ten apartament w hotelu?

– Trochę poszło, ale było warto – odparł Bags. – Tydzień w luksusie – to warte było swojej ceny.

– Ale ile konkretnie? – drażzył Przemek z pijackim uporem.

– Dziesięć tysięcy, pasuje? – zirytował się w końcu Romeo.

– O kurwa! Tyli grosz! – pacnął się w głowę Przemo i zjechał z ławki na glebę.

– Nie przejmuj się tak. To wcale nie tak znowu dużo – stwierdził Bags, podnosząc go z powrotem na ławkę.

– No, „nie dużo”. To przecież tyle ile zarabia mój ojciec, bez premii – dołączyłem swój głos do Przemkowych dywagacji. Jest to najwyższa stawka, jaką można zarobić legalnie na państwowej posadzie – powiedziałem.

– A kim jest twój ojciec? – zapytał Romeo z zaciekawieniem.

– A jest generalnym projektantem w KBPBBP.

– Gdzie?

– To taka moda na skrót, jak w nowomowie z książki Orwella „Rok 1984”. Co oznacza: w Krakowskim Biurze Projektowo-Badawczym Budownictwa Przemysłowego.

– A, to jest to szycha w naszym industrialnym kraju sojuszu robotniczo-chłopskiego – stwierdził autorytatywnie Przem.

– No pewnie, w drugiej połowie XX wieku najwyższym kapłanem i demiurgiem – stwórcą społeczeństwa jest Inżynier. To on buduje podwaliny naszego lepszego świata jutra, buduje huty. Mój ojciec projektował na ten przykład hutę szkła w Krośnie, buduje fabryki – tutaj muszę wspomnieć, że tenże ojciec projektował na przykład fabrykę produkcji ciągnika „Massey Ferguson” i przez jego skłonność do ulżenia pracy robotnikom wybudował linię produkcyjną, z minimalną ilością miejsc pracy – w pełni zautomatyzowaną. A jak się robotnik zmęczy, to może sobie pojechać na wczasy, do zaprojektowanego przez ojca domu wczasowego nad morzem z, uwaga: basenem z podgrzewaną wodą morską.

– Toż to szczyt rozpusty: być nad morzem i kąpać się w basenie – zaoponował Romeo.

– Nie ma w tym nic zbytecznie luksusowego – stwierdziłem. – Przecież nad naszym morzem turnusy urządza się od czerwca do września, a budując taki ośrodek w Mielnie – Unieściu „Chemobudowa” ma ośrodek całoroczny.

– Fakt – zgodził się Romeo. – Wakacje nad morzem w środku grudnia mają w sobie niezapomniany urok. Sam pamiętam, jak pracowałem w Sopocie „na jumie²⁷” zeszłej zimy i morze zamarzło, to żeby dokarmiać łabędzie musiałem

²⁷ Pracować na jumie – to znaczy kraść.

z moją dupencją drałować parę kilosów po lodzie, zanim dotarliśmy do wody.

– A swoją drogą to warto by było zauważyć, że pierwszymi zawodami były nie prostytutka i wojownik, ale właśnie inżynier i złodziej – zagał kontrowersyjnie Bagsiu. – No bo popatrzcie, czego i czym mieliby bronić wojownicy, gdyby inżynier nie wyposażył ich w broń i nie urządził schronienia.

– A co ze złodziejem? – zaśmiałem się w odpowiedzi

– A co do złodzieja, to kradzież wydaje mi się podstawowym instynktem, nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt. To przysłowie, że okazja czyni złodzieja, to nie teza, lecz pewnik. A dowód jest bardzo prosty. Otóż nie ma na świecie ani jednego człowieka, który nic nigdy nikomu nie ukradł. Przecież w dzieciństwie cała zabawa dzieci polega na odbieraniu rówieśnikom pewnych dóbr, a dosłowniej, przedmiotów i gromadzeniu ich przy sobie. Dlatego nikt, nawet najświętszy święty nie może powiedzieć, że nigdy nikomu nic nie ukradł. Kradną nawet idioci, debile i kretyni – zakończył swój wywód Bagsiu, zręcznie posyłając ostatnią butelkę wydłużoną parabolą do śmietnika, o który rozbiła się na drobne kawałeczki.

– Co za chuligani! – wyrzasnęła przez najbliższe okno wielopiętrowca jakaś stara wydra.

– To co, zrobimy jeszcze ze dwie połówki? – zagadnął z diabolicznym uśmiechem w kąciку oka Romeo.

– No nie – wybelkotałem z wnętrza swojego zezwłoku. – Ja już jestem kompletnie ujebany, jeszcze odrobina alkoholu i będziecie mnie musieli nieść.

– Nie ma sprawy, idę na to ryzyko – powiedział Romeo – bo cię jakoś kurwa lubię.

– O, to nie jesteś odosobniony w swoich odczuciach. Wielu ludzi mówi mi: „kolego sympatyczny” i nie wiem skąd się u mnie bierze ten wewnętrzny czar i nieodparty urok osobisty.

Oczywiście już od pewnego czasu brałem udział w dyskusji jedynie siłą woli, a nie umysłu, ponieważ miałem taki defekt, który potocznie nazywany jest „urwanym filmem” i dlatego byłem tak bezkompromisowo szczery w swoich wypowiedziach. Znam to zresztą jedynie z opowiadań Przemka, który miał mocniejszą od mojej głowę i „spamiętał wszystkie czyny i rozmowy²⁸”, aż do samego niechlubnego ich końca.

– Skoro tak, to ja natychmiast skoczę po następną tranzę paliwa – zaoferował się Bagsiu.

– A skacz, skacz – zachęciłem go, czkając na potęgę.

– Dobra, kup jeszcze – dwie? – Romeo popatrzył na nas ustalającym konsensus spojrzeniem – tak, dwie połówki – wygrzebał z kieszeni garść banknotów i wręczył je Bagsowi, który wstał i na niepewnych nogach, zataczając się od horyzontu po horyzont i balansując pomiędzy Zenitem a Nadirem, kierował się mniej więcej na niewielki, z naszej rozchwianej perspektywy, otwór wejściowy drzwi sklepu z napojami wyskokowymi.

– Trzeba będzie zrobić coś z twoją czkawką – stwierdził Przemko, gdy moje nieustanne hypanie zaczęło wszystkim przeszkadzać.

– O kurwa! – złapał się za głowę Romeo. – Sława nie żyje!

– Co ty pierdolisz?! – odkrzyknąłem, bo jego wykrzyknik podziałał na mnie jak chłaśnicie nożem.

– E nie, żyje, tylko jest sztywna od przepicia – uspokoiłem ich, gdy dotknąłem jej ciepłego policzka. – Nie róbcie se więcej takich żartów na przyszłość. I z czego się śmiejecie, pusta-ki? – zapytałem ich rzeczowo widząc, że rechocą obaj jak na zawołanie.

²⁸ ...Poeta spamięta / Spisane będą czyny i rozmowy – fragment wiersza Czesława Miłosza.

Postowie

Książka, którą oddaję w twe ręce, czytelniku, jest odręcznym szkicem z pamięci, który nie pretenduje do roli wielkiego fresku epoki. Zawarte w nim wspomnienia to autentyki. Występujące w niej postaci, niektóre ukryte pod pseudonimami, a niektóre nie, wedle woli, żyją jeszcze po części i możecie ich śmiało zapytać, jak to było. Jeśli coś mi umknęło, to trudno, taka już jest funkcja pamięci, że jest zawodna. Ale starałem się wywołać z pamięci jak najwięcej szczegółów, z tej jakże zamierzchłej już przeszłości.

Dwadzieścia pięć lat to sporo. Mam tylko kilka czarnobiałych fotografii, które już wyblakły, ale moje wspomnienia o tamtych niezwykłych czasach są tak świeże, jakby to rozegrało się wczoraj, choć nie można być pewnym, jak przy każdej subiektywnej relacji, że są one dokładne. Mimo wszystko, myśl, że opowiadanie to pozwoli przypomnieć sobie te wspańnięte lata osiemdziesiąte, lata kryzysu i zapaści, jest jak zaczerpnięcie wody życia ze źródła Arkadii młodości.

Dość już smędzenia o latach walki i przemocy systemu. Ja, jak widać po lekturze tej książki, zapamiętałem tamten świat, jako świat totalnej wolności i nie będę narzekał, że w dzienniku podawano same kłamstwa. Jeśli ktoś był na tyle głupi, że nie potrafił filtrować nagonki indoktrynacyjnej, to jego strata. W tamtych latach liczyło się tylko to, co dało się wyczytać między wierszami, i może dlatego nie było takiej zapaści inte-

lektualnej, jaką możemy obserwować obecnie, gdy największym zainteresowaniem cieszą się w telewizji najgłupsze programy, o tym jak ktoś tańczy na parkiecie, a ktoś inny na lodzie. Może kiedyś ktoś przebije dno, ale nie liczyłbym na to, bo dno już osiągnęliśmy. Tylko, że jakoś nikt się nie ma zamiaru od niego odbijać, bo już nikomu się nic nie chce i prawdopodobnie nigdy się nie zechce. Tak oto doszliśmy chyłkiem – milczkiem do kresu rozwoju naszej cywilizacji i żadne już odkrycia, nawet nieśmiertelność, nie wyrwą ludzkości z marazmu. Idziemy ku odmóżdzeniu, co będzie trwało trochę tylko szybciej niż te kilkaset tysięcy lat budowania człowieka. Homo sapiens będzie teraz już tylko cały czas usypiał, snem coraz głębszym, aż powoli uśnie zupełnie, bo Homo ludens (Człowiek imitujący) zawładnął już światem. Zastanawiam się, czy jest sens pisać o tych wspaniałych ludziach, którzy przez krótkie dwie dekady stanowili elitę zapomnianego już coraz bardziej Człowieka rozumnego, myślącego (Homo sapiens sapiens), który wyginał tak gwałtownie, wraz z upadkiem systemu dwubiegunowego, z mocarstwem 'zła', czyli Związkiem Radzieckim i odpowiednio z mocarstwem 'dobra', czyli Stanami Zjednoczonymi.

Mam tylko nadzieję, że człowiek myślący nie wymiera na zawsze, lecz że tylko zasypia, do drzemki, aby wypocząć przed następnym zrywem kreacji, który nie dziś, to jutro, nie jutro, to za sto lat wybuchnie nowym płomieniem rewolucji, która zmiecie wszechwładzę telewizora – głównego usypiacza ludzkości. Ja tego nie doczekam, ale może ktoś z was, późne moje wnuki tak...

Pamiętajcie tedy to, że byli przed wami tacy wolni ludzie w Polsce, w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach dwudziestego wieku.

Houk – Rzekłem!

O Autorze

Mirosław Konieczny urodził się 23 VII 1964 – a więc Lew i to urodzony pod Błękitnym olbrzymem Regulusem, a w chińskim zodiaku Drewniany – Powietrzny Smok. Jest to mieszanka najlepszych możliwych okoliczności zodiakalnych, więc musi to być nietuzinkowa postać. Jego młodość po ukończeniu w 1983 roku liceum im. B. Nowodworskiego przypada na magiczne lat osiemdziesiąte – lata wybuchu kultury dzieci kwiatów – związane z polami makowymi rosnącymi na każdym zadupiu i wynalezienia metody otrzymywania kompotu na kationicie. Mirek jak dziesiątki tysięcy młodych ludzi wędrował ścieżką Freemanów, wolnych ludzi tej epoki, w których życiu – jak śpiewał bard jego pokolenia Ryszard Riedel z „Dżemu” – powiał boczny wiatr i wytrącił ich z prostej drogi kariery. Po ukończeniu biologii na UJ w roku 1989 podjął się zawodu nauczyciela j. angielskiego i biologii w szkołach podstawowych. Przepracował jedynie 5 lat. Jazda na trawie i kompocie nie pozostawała jednakowoż bez śladu. Był wielokrotnie hospitalizowany w szpitalach psychiatrycznych – od Kobierzyna, gdzie jego pierwszy pobyt został udokumentowany w monodramie „Mój dekalog, czyli dziesięć wariacji na temat wariacji”, przez Jarosław, gdzie był poddany serii elektrowstrząsów, po Leżajsk. Najgorszym jednak nie był jego heroinizm, ale przerzucenie się na najtańszy rodzaj narkotyku, metkatynon – przy produkcji którego używa się nad-

manganianu potasu, a mangan przyjmowany w dużych dawkach wywołuje „locura manganica” – szaleństwo manganowe, jak i spalenie części ośrodkowego układu nerwowego, a dokładniej mózdzka. W końcu w 2000 roku odbył leczenie w gliwickiej „Famili””. A od 2002 roku przebywa w jednym z krakowskich DPS-ów. Mirek miał i tak wiele szczęścia – PRZEŻYŁ, co udało się niewielu, a jego szlak znaczony jest śmiercią przyjaciół. Ale dzięki temu, że przeżył, my możemy dzięki jego tekstom zanurzyć się w ten wspaniały wolny czas, kiedy liczyły się tylko miłość, przyjaźń i odpał makowy.



Napisz do Autora

www.facebook.com/mirek.konieczny.9

mirek.konieczny.9@facebook.com

www.u-nasz-w-swirowku.blog.onet.pl

Trylogia Narkomańska na Facebooku

<https://www.facebook.com/TrylogiaNarkomanska>

Spis treści:

Prolog	4
Historia z Victorią w tle	9
Rozdział pierwszy, czyli megaimpreza pod Akacją	9
Rozdział drugi, czyli halucynacje muszą być.....	25
Rozdział trzeci, czyli drobna impresja hotelowa	37
Rozdział czwarty, czyli mak – pierwsze starcie.....	42
Rozdział piąty, czyli Victoria – nasz wielki guru	65
Rozdział szósty, czyli El Dorado.....	71
Rozdział siódmy, czyli wielkie grzanie.....	79
Rozdział ósmy, czyli podróż sentymentalna	98
Rozdział dziewiąty, czyli wyjazd z mety.....	106
Rozdział dziesiąty, czyli krwawy sabat	117
Rozdział jedenasty, czyli prapoczątki	124
Rozdział dwunasty, czyli wielki odjazd	135
Rozdział trzynasty, czyli rozprawiczenie	144
Rozdział czternasty, czyli podróż haju.....	166
Rozdział piętnasty, czyli primo amore mio.....	175
Rozdział szesnasty, czyli Patelnia.....	185
Rozdział siedemnasty, czyli filipiński zjazd.....	206
Post Scriptum	220
Noty biograficzne	222
Postówie	227
O Autorze	229

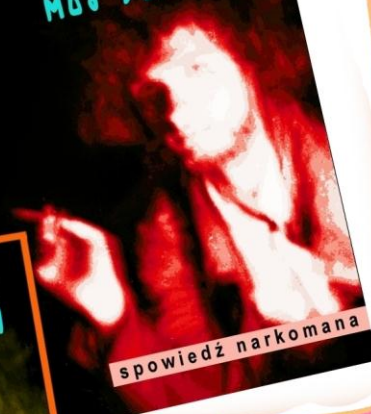
MIREK KONIECZNY TRYLOGIA NARKOMAŃSKA

MIREK KONIECZNY
MOJA WIELKA MIŁOŚĆ



romans narkomański

MIREK KONIECZNY
MÓJ DEKALOG



spowiedź narkomana

MIREK KONIECZNY
SEN O VICTORII



powieść narkomańska

OSTATNI HIPPIŚ PRL-U